

Świątek Dziecięcy



Nr 34.

Bezpłatny dodatek do „Przyjaciela Dzieci.”

Rok 1912.

KASZTANEK.

Z mego Jaśka, choć tak mały,
Jeździec jest już doskonały.

Od wczesnego już poranku
Jedzie w pole na kasztanku.

A kasztanek, choć tak żywy,
Chętnie da się chwycić grzywy.



I gdy Jasiek go dosiędzie,
Wnet wolniutko stąpać będzie.
Gdy się dzienna kończy praca
Do zagrody kasztan wraca.

Jaś go poi u studzienki—
Potem wiedzie do stajenki.

Lublinianka.

Tajemnica starego dworu.

Przykre uczucie samotności
ogarnia dzieci coraz więcej. Na-
wet Stef, zawsze taki odważny,
czuje się jakiś „nieswój”.

— Cóż to znowu?— myśli.—
Miałebym lękać się? Nie
wolno mi tracić ducha. Je-
stem przecież opiekunem
młodszego rodzeństwa...

Więc zdobywa się na
uśmiech i na żarty.

— Czego my tu stoimy,
moje panny siostry? Prze-
cie nie wrosliśmy w ziemię.
Trzeba ruszyć dalej.

— Gdzie?— szeptem za-
pytuje Anka.

— Gdzieżby — do pokoju!...
Ach, widzicie, zapomnieliśmy
„na śmierć”, że w jadalni czeka
nas list ciotki Izy. No, radźcie
mi, moje panny, które drzwi

otworzyć, na prawo, czy na lewo?

— Naturalnie, że na prawo.

— Nie wiem, dlaczego ma być „naturalnie”, ale zgoda, otwierajmy.

VI.

Rada przypadkiem okazała się dobrą, wybrane drzwi wiodły do jadalnego pokoju.

Ach, jakże tu było wspaniale!

Ścianę przeciwległą do drzwi sieni zajmuje wielkie okno, złożone w górnej części z drobnych, oprawnych w ołów, szybek kolorowych. W tej chwili zachodzące słońce snopem promieni wprost na nie pada... posadzka, ściany zasłane są tysiącem plamek purpurowych, zielonych, błękitnych!

Wzdłuż ścian jadalni biegnie wysoka drewniana lamperya, rzeźbiona w kwiaty i gwiazdy.

A nad lamperyą całe szeregi starych portretów. Oczy namalowanych postaci spoglądają życzliwie na dzieci.

Pradziadowie witają prawnuków w starym rodzinnym domu!

Pod jedną ścianą stoi kredens dębowy, cały rzeźbiony, pod drugą rząd krzesel o wysokim oparciu, krytych czerwoną skórą. Na środku olbrzymi rozsuwany stół

I nic więcej.

To też jadalnia przy swoim ogromie wydaje się prawie pustą.

Ale dzieci na to wszystko prawie nie zwracają uwagi. Myślą o jednym tylko... o liście ciotki Izy.

Leżał tam na środku stołu. Właściwie nie list, lecz ćwiartka papieru, zaadresowana: „Do moich miłych gości”.

List był krótki, a data dnia poprzedniego.

„Przykro mi bardzo, drodzy i kochani, lecz okoliczności tak złożyły się, że was powitać nie mogę. Przyjaciółka moja, z którą udaję się do wód, oznajmiła mi dziś depeszą, że wyjazd swój przyspiesza i że mamy zjechać się jutro o szóstej rano. Nie zawiadamiam was o tem, bo już zapóźno. Za cztery tygodnie wracam nacieszyć się wami. A tymczasem uścisk serdeczny. Jeszcze słówko. W szufladzie w kredensie jest notatka, gdzie mieści się bielizna stołowa, pościelowa i różne potrzebne rzeczy. Śpiżarnię zaopatrzyłam na przedce w co się dało. Piekarz i mleczarka są już uprzedzeni, będą wam przynosili co drugi dzień mleko i pieczywo, w ogrodzie macie trochę jarzyn i owoców, zresztą w miasteczku

wszystkiego dostać można. O pudełku z paciorkami pamiętałam, znajduje się w kredensie. Uprzedzam was też, że frontowa brama w parkanie zepsuta i otwierać jej nie można. Do widzenia, drodzy moi, mam nadzieję, że dobrze wam będzie w Borucinie”.

Papier wysunął się z rąk Anki... spojrzała na brata.

— A więc ciocia wyjechała na dobre, a więc rzeczywiście nikogo w domu niema... I co my teraz zrobimy?... — wyjąkała.

Stefowi również zrobiło się niemiło, ale wkrótce zapanaował nad sobą i udając swobodę, zawołał:

— Co zrobimy?... Przedewszystkiem odszukamy spiżarnię, potem kuchnię i przyrządzimy sobie jaki posiłek. Co do mnie, umieram z głodu.

— I mnie chce się jeść bardzo — odezwała się Krysia płaczliwie.

— Jakto, więc zostajemy tutaj, Stefie?

— A co lepszego możemy zrobić, Anko? Innej rady niema. Musimy zostać przynajmniej przez noc dzisiejszą. Patrz, słońce za chwilę zajdzie, nawet pieszo nie zdążylibyśmy wrócić na stację.

— Zresztą — odpowiedziała Anka — nie na wiele by się to przydało. Pociąg odchodzi rano, a my na bilety nie mamy pieniędzy.

— Więc, jak mówię, trzeba zostać, zjeść kolację i spać się położyć. Poszukajmy teraz spiżarni!

Skoczył i otworzył drzwi na lewo.

— Aha, biblioteka... Oj, co książek... Poznamy się z wami, tylko nie dziś jeszcze. A te drzwi gdzie prowadzą?... Ślicznie... korytarz... Założyłbym się, że na końcu jest kuchnia.

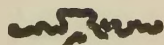
Tak i było. Jasna, wesola a czysta, jak pokój. W podłodze znajdowały się drzwi do piwnicy.

Na trzonie kuchennym leżały drobno połupane szczapki drzewa, obok stołu maszynka naftowa, imbryk do herbaty i dzbanek pełen wody. Na stole leżał klucz z napisem „spiżarnia”.

Dzieci wydały okrzyk zachwyty.

— Jaka ciocia Iza dobra! Jaka dobra! O wszystkim pamiętała!

(Dalszy ciąg nastąpi).



NA PODWÓRKU.

Na naszym podwórku, od samego rana pełno jest krzyku i zamieszania.

Jaś długim biczem krowy wygania, a stara Wrona ze swej złości znana, głośnem szczekaniem mu dopomaga, ze stajni konie wychodzą do pługa, już zaprzągnięta jedna para, druga. Poszły na pole.

Wtem hałas się wzmacnia. Mateuszowa otwiera kurniki, a wtedy kury, kaczki i indyki, coraz głośniejsze wyprawiają krzyki, aż stanął indyk i do tej muzyki dodał swe głośne, chrapliwe wołanie.

A że nie wołał zbyt głośno i ładnie, zaraz w gniew wielki jaśnie kogut wpadnie, zaraz więc wrzasnął:

— Dam ja wam śniadanie, wy czarne kwoki, białe i czubate, i wy szkaradne kaczki, co kwakacie i w nocy tylko wciąż hałas sprawiacie. Precz mi z podwórka! I też wy pstrokate, co się pysznicie, że na piórach macie białe perełki... Czy wy mnie nie znacie?

Chciał dalej krzyżeć. Ucichł jakoś nagle, bo inne ptaki, indyki i pawie, wszczeły też wrzaski, ot, tak, ku zabawie. Pies

poszczekiwał w budzie wciąż zajadle. Mateuszowa hałas też zwiększała, wołając ciągle: „cip, cip!” na kurczęta. Aż wreszcie wyszły i małe prosięta. Kwiczały głośno, potem rzesza cała w zgodnym pogwarze w podwórku biegała. Z. M.

O pewnym chińczyku.

Bardzo stąd daleko, w chińskiem mieście Pekinie żył chiński mandaryn Fuj-Pfuj.

Ubierał się zawsze w jednokowy popielaty płaszcz, haftowany złotem, w jedwabne pantofle i jedwabny kapelusz z pomponem.

Czy słońce świeciło, czy też dzień był pochmurny, Fuj-Pfuj nosił zawsze parasol.

A wiecie czemu?

Oto był z niego straszny pyszałek, nadęty, jak purchawka; pragnął, aby wszyscy widzieli, że idzie przez ulice miasta i gięli się przed nim w pokłonach.

I istotnie, żółty parasol o czerwonych brzegach było już widać zdaleka.

Mandaryn Fuj-Pfuj choć pragnął ukłonów, nigdy na nie nie odpowiadał. Szedł zawsze przez

ulice nadęty, udając, że nikogo nie widzi.

— I tak — myślał — dosyć szczęścia, że pozwalam kłaniać się sobie.

Gdy Fuj-Pfuj szedł wieczorem przez ulice miasta, biegł wówczas przed nim mały chińczyk w śpiczastym kapeluszu, niosąc płonącą lampę.

To było też dlatego, aby wszyscy mogli widzieć już zdaleka, że idzie mandaryn.

Wielki szacunek dla mandaryna wzbudzał jego warkocz bardzo długi i bardzo pięknie spleciony, zakończony wstążeczką.

Pewnego dnia usiadł mandaryn Fuj-Pfuj na chińskim fotelu przed swym chińskim domkiem i czytał chińską gazetę.

Do domku wsunęło się dwu łobuzów.

Wyjrżeli przez okienko.

Fuj-Pfuj siedział zaczytany, nie wiedząc, co się dokoła niego dzieje.

Łobuziaki zaczęli się naradzać szeptem, naturalnie po chińsku.

— Wiesz co? Kapnę mu na nos wodą!

— E, nie, lepiej ściągnij mu haczykiem wstążkę z warkocza.



— Doskonale! Przynieś haczyk i sznurek.

Nikt nie lubił niegrzecznego zarozumialca, to też chłopcy cieszyli się na myśl, jak się Fuj-Pfuj będzie złościł, gdy nie ujrzy wstążki na warkoczcu.

Spuścili haczyk powoli, ostrożnie, starając się pochwyć błękitną kokardkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIEŃCE Z LIŚCI I KWIATÓW.

Najodpowiejsze do splatania wieńców są liście buku, topoli, dębu i bzu. Robota to łatwa. Przez środek jednego liścia przetyka się ogonek drugiego, po-

tem z odwrotnej strony przez drugi liść przetyka się trzeci i t. d.

Można też dla odmiany składać liście w rurkę i dopiero przetykać jeden przez drugi.

Chcąc spleść ładne wieńce z polnych kwiatów, trzeba wybierać kwiaty osadzone na długich szypułkach, jak jastrunie, chabry, kankole, nieśmiertelniki, krwawniki i splatając, przeplatać je liśćmi o różnych odcieniach zieleni.

HELENA BOJARSKA.

NADZWYCZAJNA LALKA.

Komedyjka w dwóch odsłonach.

Mania (*do Zosi*).

A ty, Zosiu, masz jakie zabawki?

Zosia (*śmiejąc się*).

Jestem już zaduża na zabawki, mam za to dużo ładnych książek...

Frania.

Moja ciocia mówiła, iż tak lubiła bawić się lalkami, że już była prawie dorosła, a jeszcze miała lalki i szyła dla nich sukienki.

Zosia.

O, to i ja szyję dla lalek Loli i Irenki.

Lola.

I ja szyję z Zosią...

Mania.

Dla dużej lalki to przyjemnie szyć... ale dla małej to ni to, ni owo... tak się tylko igłą rusza...

Zosia (*ze zdziwieniem*).

Jakto, moja droga?... I dla najmniejszej laleczki trzeba coś uszyć, a szycie to jest zawsze prawdziwe.

Mania.

Raz chciałam naprawdę uszyć bluzkę, panna Barbara skrajała mi... ale tak się jakoś wszystko pościągało, że nie można było włożyć... Dla dużej lalki to byłoby daleko łatwiej.

Frania (*śmiejąc się*).

Mania przyszyła rękawek do szyi... ale ja też myślę, że dla dużej lalki to przyjemnie szyć...

(*Wchodzi Janowa i wnosi tacę z łakociami*).

Janowa

(*cicho do Zosi*).

Zrobiłam wszystko, tak, jak panienska powiedziała. Mała bawi się grzecznie, a ja uważam, żeby sobie ubrania nie zgmiotła.

Zosia.

Bardzo dobrze! (*do gości*). Proszę, zbliżcie się do stołu!

(*Dzieci siadają, domowi zapraszają przybyłych, wszyscy jedzą*).

Lola.

Nasze lalki niech też siedzą blisko, to będzie większe towarzystwo.

Mania (*niechętnie*).

Te lalki takie małe!...

Frania (*z grymasem*).

Nie lubię się bawić takimi lalkami...

Zosia.

Teraz jedźcie, a potem pokażę wam naszą nową, ogromną lalkę...

Mania.

A dlaczego jej tu niema?... Dlaczego nie pokazałyście jej?...

Lola.

Bo jest zapakowana w ogromnym pudle i same nie możemy jej wyjąć, a służąca była zajęta, więc nie mogła nam pomóc.

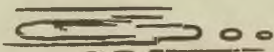
Frania.

To taka wielka lalka? I mądra?... umie co?...

Adaś (*z przesadą*).

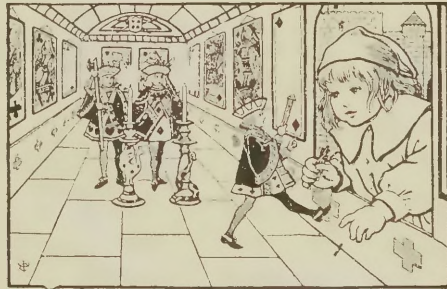
O, bardzo mądra!... umie wiele rzeczy... to nadzwyczajna lalka!... wielki wynalazek dwudziestego wieku!...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



Pójdźmy w las!

Złote słonko woła nas:
Zabaweczki pójdźcie w las!
Tam konwale, dzwonki rosną,
Ciesząc się cudowną wiosną,
Strumyk płynie, szemrzą drzewa,
Wdzięczną piosnkę słowik śpiewa...



Kiedy słonko woła nas,
Zabaweczki pójdźcie w las...
Tam będziemy gwarzyć z pszczołką,
Z kwiateczkami i rzeczułką,
Co swe chłodne wody niesie
Po zielonym, wielkim lesie.

Marya Bobińska.

Łańcuch wilków.

Gra na świeżem powietrzu.

Na boisku, to jest na placu, przeznaczonym do zabawy, narysowała się dwie długie naprzeciwległe linie w odległości 15—20 kroków od siebie. Nazwijmy je *A* i *B*.

Za linią *A* umieszcza się jedna osoba, wybrana poprzednio na wilka, za linią *B* reszta osób

„w rozsypce”, to jest bez oznaczonego porządku. Przewodnik gry stoi z boku.

Grający rolę wilka musi obojętnie trzymać ręce zwrócone dłońmi do siebie i splecione palcami.

Właściwa gra.

Na znak dany, np. klaśnięcie, osoby znajdujące się za linią *B*, biegną do linii *A*, to jest do granicy wilka, niby zaczepiając go.

Skoro już dobiegły, przewodnik woła: „Wilki z jamy!” Wtedy „wilki” wyskakują, goniąc uciekających, którzy pędzą, by ukryć się poza swoją granicę, niedostępną dla wilka. W gonitwie tej „wilki” stara się uderzyć splecionymi rękoma którejkolwiek z uciekających.

Skoro to uda mu się, bierze schwytanego pod rękę i razem wracają do „jamy”. Jeżeli nie uderzył nikogo, wraca sam na wołanie kierownika gry: „Wilki do jamy!”

Przy nowej zaczepce wypadają teraz z jamy dwa „wilki”, to jest dwie osoby, trzymające się pod rękę i jeżeli powiedzie się im uderzyć kogo, liczba „wilków” znowu się zwiększy.

Tym sposobem tworzy się

łańcuch wilków, któremu coraz łatwiej ogarniać uciekających przed niemi.

Linie, rozdzielające wilka od dzieci, nie mogą być przez nikogo z grających przekroczone. Łańcuch wilków rozerwać się nie może.

Przed rozpoczęciem gry oznacza się, ile razy wilk będzie zaczepiony i ile osób musi zabrać dla wygrania partyi.

ODPOWIEDZI

„Światka Dziecięcego”.

Marusze L. Powiodło się, a do tego liścik napisany bez zarzutu. Aż miło takie otrzymać.

„*Złotemu Huszarowi*” (pseudonim). Czy to pierwsza próba? Zapewne tak, bo, o ile pamiętam, z tym pseudonimem spotykam się po raz pierwszy. Wydrukujemy, ale niech „Złoty Huszar” uzbroi się w cierpliwość, bo zapas łamigłówek jest duży, a drukujemy je kolejno.

Józi Fal. Najlepiej nie plamić, bo niestety, nie każdą plamę usunąć można. Wiesz co, kochanie, przyznaj się mamusi, przeproś ją, a ona ci poradzi. Nie widząc materiału, nie wiem, jaki środek na usunięcie plam zalecić.

He ence Żyg. Doskonała myśl. Najtrwalszą pamiątką, jaką zostawisz dzieciom wiejskim, będzie ta, jeżeli nauczysz je czytać. Tylko nie zrażaj się trudnościami, Helenko. Wytrwaj!

Wydawnictwo Tow. Akc. Wydawniczego „Świat”.

Redaktor **Wacław Podwiński**.

Kierownicy literacy: **Jadwiga Chrzęszczewska** i **Stefan Gębarski**.

Odpow. za redakcję w Galicyi: **Kamilla Chołoniewska**, Kraków, ul. Bonerowska 12.

Klische i druk wykonane w graficznych zakładach Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.